Henryk Sienkiewicz

Krzyżacy (fragment)

Rozdział szesnasty

W lasach o milę na wschód za Kownem, które sam Witold zniszczył, stały główne siły Skirwoiłły, przerzucając się w razie potrzeby błyskawicą z miejsca na miejsce, czyniąc szybkie wyprawy bądź to w granice pruskie, bądź na zamki i zameczki będące jeszcze w ręku krzyżackim i podsycając płomień wojny w całej krainie. Tam to znalazł wierny giermek Zbyszka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu się ze Zbyszkiem przespał Czech całą noc jak zabity i dopiero na drugi dzień wieczorem poszedł powitać starego rycerza, który będąc strudzon i zły, przyjął go gniewliwie, pytając, dlaczego wedle rozkazania w Spychowie nie został — i udobruchał się nieco dopiero wówczas, gdy ów, znalazłszy sposobną chwilę, w której Zbyszka nie było w namiocie, usprawiedliwił się przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny przywiodła go także w tę stronę chęć, by w razie czego pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa. „Panienka — mówił — która ma duszę jak anioł, sama przeciw własnemu dobru modli się za Jurandównę. Ale wszystkiemu musi być koniec. Jeśli Jurandówna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekuistą, boć była jako jagnię niewinne, ale jeśli się odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa, nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze sromotą a wstydem”.

Maćko słuchał tego z niechęcią, powtarzając od czasu do czasu: „Nic ci do tego”. Ale Hlawa, postanowiwszy mówić otwarcie, wcale się tym nie tropił i w końcu rzekł:

— Lepiej było pannie w Zgorzelicach ostawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może się pokazać inaczej.

— A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? — zapytał z gniewem Maćko. — Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo się bała Cztana i Wilka.

— Pozór to tylko był — odpowiedział giermek. — Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oni by tam sobie wzajem przeszkadzali. Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka, i dlategoście ją zabrali.

— Cóżeś tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

— Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posępnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie w takim podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła — więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego, blisko przy Zbyszku była.

— Dyć mnie to do łba nie przyszło — rzekł jednak chcąc siebie i Czecha stumanić — jeno sama się jechać naparła.

— Jużci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej nie ma na świecie, a że braciom bezpieczniej było bez niej niż z nią — więc i pojechała.

— Tyś wmówił! — zakrzyknął Maćko.

— Ja — i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, co wskórać. Inaczej — lepiej pogińmy.

— Co tu wskórasz — rzekł z niecierpliwością Maćko — z takim wojskiem, w takiej wojnie!… Będzie-li co lepszego, to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchym latem, a teraz to się jeno tli, nie pali. Kniaź Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwoleństwo a pomoc jego sobie zjednać.

— Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę albo wiadomość o jej śmierci.

— Albo i nic.

— W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł. Powiadali to nam i w Szczytnie, i wszędy, i samiśmy tak myśleli.

— A widziałeś to wojsko? Wyjdźże za namiot i spójrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

— Ba! Jako słyszałem, chłopy do bitki dobre!

— Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwoiłły, który był wodzem Żmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb, i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. W ogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem równie ogromną głowę i takie same pałąkowate nogi. Mówiono o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi, i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał tylko trzy wyrazy: ogień, krew i śmierć. W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli ani przewidzieć, ani im zapobiegać — dlatego bano się go w pogranicznych komturiach.

— Mówiliśmy o wyprawie — rzekł z niezwykłym ożywieniem do Maćka Zbyszko — i dlategośmy tu przyszli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwoiłłę na sosnowym pniaku pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopieroż Maćko zapytał:

— Chcecie wyprawę uczynić albo co?

— Zamki Niemcom okurzyć…

— Któren?

— Ragnetę albo Nowe Kowno.

— Ragnetę — rzekł Zbyszko. — Cztery dni temu byliśmy pod Nowym Kownem i pobili nas.

— To właśnie — rzekł Skirwoiłło.

— Jakże to?

— Dobrze.

— Poczekajcie — rzekł Maćko — bo ja tutejszej krainy nie znam. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

— Stąd do Starego Kowna niespełna mila — odpowiedział Zbyszko — a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj chcieliśmy się przeprawić, ale pobili nas u przeprawy. Ścigali ci nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozproszyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

— A Ragneta?

Skirwoiłło wyciągnął swe długie jak gałąź ramię na północ i rzekł:

— Daleko! daleko…

— Właśnie dlatego, że daleko! — odparł Zbyszko. — Spokój tam wokoło, bo co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

— Słusznie prawi — rzekł Skirwoiłło.

Maćko zaś spytał:

— Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwoiłło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

— Zamek mocny, więc chybaby wypadkiem. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyżę poniszczym, a co nade wszystko jeńców nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, a takich chętnie Krzyżacy wykupują alboli też wymieniają…

Tu zwrócił się do Skirwoiłły:

— Samiście, kniaziu, przyznali, że słusznie prawię, a teraz rozważcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas tam pobili. Ej! pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

— Kto pobije, ten się napaści najmniej spodziewa — mruknął Skirwoiłło.

Lecz tu zabrał głos Maćko — i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragnetą niż pod Nowym Kownem — i że pod Ragnetą łatwiej będzie przede wszystkim schwytać jakiego znacznego jeńca, który by mógł posłużyć na wymianę. Mniemał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony niż porywać się na wyspę od przyrodzenia obronną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwoiłło poruszał kiedy niekiedy wzniesionymi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: „Słusznie prawi!” — wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak że wyglądał całkiem jak garbaty, i zamyślił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał — i nic nie mówiąc, począł się żegnać.

— A jakoże, kniaziu, będzie? — spytał go Maćko — dokąd ruszym?

Ów zaś rzekł krótko:

— Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, po czym stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

— Tfu! cóż to za pień!… To niby słucha, słucha, a potem swoje. Żal gęby drzeć!…

— Słyszałem ci ja o nim, że taki jest — odrzekł Zbyszko — a po prawdzie, to i cały tu naród uporczywy jako mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem jakoby kto na wiatr dmuchał.

— To czego pyta?

— Bośmy pasowani rycerze i dlatego żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

— Pod Nowym Kownem też może najmniej się nas spodziewają — zauważył Czech — właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tym miał ci on słuszność.

— Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którym ja przywodzę — rzekł Zbyszko, któremu duszno było w namiocie — trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna, chmurna i ciemna, rozświecona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Żmujdzini.

Rozdział siedemnasty

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy, służąc poprzednio u Witolda, napatrzyli się do syta litewskim i żmujdzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzał na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać, i porównywając ich z polskim i z niemieckim rycerstwem. Obóz stał w nizinie otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama nizina, na której stały szałasy, była także grząska i błotnista, lecz oni nakrzesawszy jodłowych i sosnowych gałązek przyrzucili ją nimi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszym miejscu. Kniaziowi Skirwoille sklecono naprędce coś w rodzaju „numy”, czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych nie ociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi uwito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołym niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody i dżdżom tylko w kożuchach i skórach, które na nagim ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli lub leżeli wokół jasnych ognisk podsycanych suszem i gałęźmi jałowca, inni grzebali w przygasłych już i zasutych popiołem watrzyskach, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, i swąd przypalonych mięsiw. Między ogniskami widniały stosy broni poskładane blisko, tak aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hlawa przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wąskich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom uczynionym z młodych dąbczaków, w które ponabijano krzemieni lub gwoździ, okszom o trzonkach krótkich, podobnych do polskich toporów, którymi posługiwali się jezdni, i okszom o trzonkach tak niemal długich jak u berdyszów, którymi walczyli piesi. Trafiały się między nimi i miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małym jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksze, smoliste, prażone w ogniu łuki i przy blasku płomienia badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych koniuchów, ale że znaczniejsi bojarowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hlawę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, o potężnych karkach i w ogóle tak dziwnych, że zachodni rycerze poczytywali je za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców niż do prawdziwych koni podobne.

— Na nic tu wielkie, bojowe ogiery — mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda — bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, a tutejszy chmyz przejdzie wszędy, tak prawie jako i człowiek.

— Ale w polu — odrzekł Czech — tutejsze wielkim niemieckim nie dostoją.

— Jużci nie dostoją. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem ani też go nie zgoni, bo te są tak właśnie ścigłe albo i ściglejsze niż tatarskie.

— A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopy były nieduże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Lud zaś istotnie był dorodny. Przy blasku ognia widać było spod skór i kożuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopa suchy był, ale kościsty i długi, w ogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rzadziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższali jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księża ze Wschodu i Zachodu, przychodziły poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkaniec miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka lub Mieczowego Kawalera, niosących w głuche leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzięte; starszy obyczaj, starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze, dlatego że czci Krzyża nauczał nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Skirwoiłło i znaczniejsi kniazie a bojarzyny byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet najprostsi i najdziksi wojownicy, nosili w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy przed Krzyżem, byle tego Krzyża nie wznosiły niemieckie nienawistne ręce. „My prosimy chrztu — wołali do wszystkich książąt i narodów — lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i przedać”. Tymczasem, gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drew nie przyrzuca, a od nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że wmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości, i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zrósł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami i szumną muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posępny. Ledwie gdzieniegdzie, przy dalszych od Skirwoiłłowej numy ogniskach, słychać było odgłos fujarki lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał „burtinikas”. Wojownicy słuchali z pochylonymi głowami i oczyma utkwionymi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórami, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbici, tak zwani „łabdarysy” i „sejtonowie”, mruczeli nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i męki. Z głębin leśnych, od strony polan i ługów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr przysłaniając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć i cisza zapadła jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pognębienia.

Zbyszko wydał rozkaz gotowości ludziom, którym przywodził i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść Połocczan, po czym zwrócił się do swego giermka i rzekł:

— Napatrzyłeś się do woli, a teraz czas wrócić pod namiot.

— Jużci się napatrzyłem — odpowiedział giermek — alem nie bardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.

— Dwa razy: cztery dni temu przy zamku i onegdaj u przeprawy. A teraz chce się Skirwoille trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

— Jakże, to on nie rozumie, że z takim wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pachołki.

— I w tym się mylisz, bo to lud chrobry jak mało który w świecie. Jeno się kupą bezładną biją, a Niemcy w szyku. Jeśli się uda szyk rozerwać, to częściej Żmujdzin Niemca niż Niemiec Żmujdzina położy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

— A już o zamków dobywaniu to pewnie nie ma co i myśleć — rzekł Czech.

— Boć nijakiego sprzętu do tego nie ma — odpowiedział Zbyszko. — Sprzęt ma kniaź Witold i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryziem żadnego zamku, chybaby trafunkiem albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży, podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopciły się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc rycerze, a z nimi i Hlawa, pokładli się przed ogniem na skórach.

Za czym posiliwszy się, próbowali zasnąć, lecz nie mogli. Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrzawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana, zapytał:

— Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blisko pod ten Gotteswerder? Co masz w tym?

— Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuśka jest w Ragnecie — i tam się mniej strzegą niż tu.

— Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon, i tyś ludzi po boru po klęsce zbierał. Ale teraz mówże, jako jest: chcesz-li ty zawsze tej dziewki szukać?

— Dyć to nie żadna dziewka, jeno moja niewiasta — odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że nie masz na to odpowiedzi. Gdyby Danuśka była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu poszukiwanie stawało się prostą powinnością i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny ni na ślubie, ni na weselu, mimowiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewkę.

— Jużci! — rzekł po chwili. — Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał, i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

— Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew boski jest nade mną.

Wtem Hlawa przypodniósł się z niedźwiedziej skóry, siadł i nastawiwszy uszu, począł słuchać pilnie a ciekawie.

A Maćko rzekł:

— Pókić sen nie zmorzy, gadaj: coś widział, coś robił i coś wskórał w Malborgu?

Zbyszko odgarnął włosy, które dawno nie podcinane z przodu, spadały mu aż na brwi, chwilę posiedział w milczeniu, po czym jął mówić:

— Dałby Bóg, abym ja tyle mógł wiedzieć o mojej Danuśce, ile wiem o Malborgu. Pytacie, com tam widział? Widziałem potęgę krzyżacką niezmierną, przez wszystkich królów i przez wszystkie narody wspomaganą, z którą nie wiem, czyli kto w świecie mierzyć się zdoła. Widziałem zamek, jakiego chyba i sam cesarz rzymski nie ma. Widziałem skarby nieprzebrane, widziałem zbroje, widziałem mrowie orężnych mnichów, rycerzy i knechtów — i relikwie jakby u Ojca Świętego w Rzymie, i mówię wam, że aże dusza zdrętwiała we mnie, bom sobie pomyślał: gdzie się tam komu na nich porywać? kto ich zmoże? kto się im oprze? kogo ich siła nie przełamie?

— Nas! zatracona ich mać! — zawołał nie mogąc wytrzymać Hlawa.

Maćkowi dziwne wydały się także słowa Zbyszka, więc choć chciało mu się poznać wszystkie przygody młodzianka, jednakże przerwał mu i rzekł:

— A toś zapomniał o Wilnie? A mało to razy zderzaliśmy się z nimi tarczą o tarcz i łbem o łeb! A toś zabaczył, jako im niesporo bywało ku nam — i jak na zatwardziałość naszą narzekali: że to nie dość było konia zapocić i kopię pokruszyć, jeno trza było cudze gardło wziąć albo swoje dać! Byli tam przecie i goście, którzy nas pozywali — a wszyscy z hańbą odeszli. Cóżeś to tak zmiękł?

— Nie zmiękłem ja, bom się i w Malborgu potykał, gdzie też i na ostre gonili. Ale wy ich wszystkiej potęgi nie znacie.

Lecz stary rozgniewał się.

— A ty znasz-li całą moc polską? Widziałeś wszystkie chorągwie w kupie? Nie widziałeś. A ich potęga na krzywdzie ludzkiej i na zdradzie stoi, bo tam i piędzi ziemi nie ma, która by była ich. Przyjęli ci ich książęta nasi, jak się ubogiego w dom przyjmuje — i obdarowali, a oni porósłszy w moc, pokąsali tę rękę, co ich żywiła, jako psi bezecni i wściekli. Ziemię zagarnęli, miasta zdradą pobrali i ot ich moc! Ale choćby wszyscy królowie świata szli im w pomoc — nadejdzie dzień sądu i pomsty.

— Skoroście mi kazali gadać, com widział, a teraz się gniewacie, to wolej zaniecham — rzekł Zbyszko.

Maćko zaś sapał przez jakiś czas gniewnie, po chwili jednak uspokoił się i rzekł:

— Albo to raz tak bywa! Stoi ci w lesie chojar jako wieża sroga, myślałbyś, że wiek wieków postoi, a stukniesz w niego godnie obuchem, to ci się pustką obezwie. I próchno się w nim sypie. Taka to i krzyżacka moc! Ale jam ci kazał gadać, coś robił i coś wskórał. Goniłeś tam na ostre — powiadasz?

— Goniłem. Hardo i niewdzięcznie ci mnie tam z początku przyjęli, bo było im już wiadomo, żem się z Rotgierem potykał. Może i przygodziłoby mi się co złego, jeno żem z listem od księcia przyjechał i pan Lorche, którego oni szanują, od ich złości mnie bronił. Ale potem przyszły uczty i gonitwy, w których Pan Jezus mi pobłogosławił. Toście słyszeli, że mnie brat mistrzów Ulryk pokochał — i dał mi rozkaz od samego mistrza na piśmie, aby mi Danuśkę wydali?

— Powiadali nam ludzie — rzekł Maćko — iże popręg mu pękł przy siedle, co ty widzęcy nie chciałeś na niego uderzać.

— Jużci, podniosłem kopię w górę, a on mnie od tej pory pokochał.

Hej, miły Boże! srogie mi pisma dali, z którymi mogłem od zamku do zamku jeździć i szukać. Już myślałem, że koniec mojej biedy i mego frasunku — a teraz ot, tu siedzę, w dzikiej stronie, bez rady nijakiej, w strapieniu i smutku, a co dzień ci mi gorzej i tęskniej…

Tu umilkł na chwilę, po czym rzucił z całej mocy wiórem w ogień, aż iskry posypały się z płonących głowni, i rzekł:

— Bo jeśli ta nieboga jęczy tu gdzie w jakim zamku, a myśli, żem jej zabaczył, to niechby mnie nagła śmierć nie minęła!

I tyle w nim się widocznie zapiekło zniecierpliwienia i bólu, że jął znów rzucać wiórami w ogień jak gdyby nagłym, ślepym bólem uniesion, a oni zdumieli się bardzo, nie przypuszczali bowiem, żeby tak kochał Danuśkę.

— Pohamuj się! — zawołał Maćko. — Jakoże było z onym glejtem? Zali komturowie nie chcieli rozkazów mistrza słuchać?

— Pohamujcie się, panie — rzekł Czech — Bóg was pocieszy — może wkrótce.

Zbyszkowi zaś łzy błysły w źrenicach, ale uspokoił się nieco i rzekł:

— Otwierali odmieńce zamki i więzienia. Byłem wszędy, szukałem! Aż wybuchła ta wojna — i w Gierdawach powiedział mi wójt von Heideck, że wojenne prawo inne i że glejty wydane w czasie pokoju nic nie znaczą. Pozwałem go zaraz, ale nie stanął i z zamku mnie wyżenąć kazał.

— A w innych? — spytał Maćko.

— Wszędy to samo. W Królewcu komtur, który jest zwierzchnikiem gierdawskiego wójta, nie chciał nawet czytać mistrzowego pisma mówiąc, że wojna wojną — i głowę, póki cała, kazał mi precz unosić. Pytałem i gdzie indziej — wszędy to samo.

— To teraz rozumiem — rzekł stary rycerz. — Widząc, że nic nie wskórasz, wolałeś tu przyjść, gdzie chociaż pomsta może się zdarzyć.

— Tak jest — odpowiedział Zbyszko. — Myślałem także, że jeńców nabierzem i może zamków kilka ogarniem; ale oni nie umieją zamków zdobywać.

— Hej, przyjdzie sam kniaź Witold, to będzie inaczej.

— Daj go Bóg.

— Przyjdzie. Słyszałem na mazowieckim dworze, że przyjdzie, a może i król z nim razem z całą potęgą polską.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im przyjście Skirwoiłły, który wychylił się niespodzianie z cienia i rzekł:

— W pochód ruszamy.

Usłyszawszy to, rycerze powstali żywo na nogi, Skirwoiłło zaś zbliżył ku ich twarzom swoją ogromną głowę i rzekł przyciszonym głosem:

— Są nowiny: idą do Nowego Kowna posiłki. Dwóch rycerzy prowadzi knechtów, bydło i spyżę. Zaskoczym im.

— To przejdziem Niemen? — zapytał Zbyszko.

— Tak. Wiem bród.

— A w zamku wiedzą o posiłkach.

— Wiedzą i wyjdą im na spotkanie, ale na tych uderzycie wy.

I począł im objaśniać, gdzie mają się zasadzić, tak aby niespodzianie uderzyć na tych, którzy pokwapią się z zamku. Chodziło mu o to, by jednocześnie stoczyć dwie bitwy i pomścić ostatnie porażki, co mogło się udać tym łatwiej, że po świeżym zwycięstwie nieprzyjaciel czuł się zupełnie bezpieczny. Więc wskazał im miejsce i czas, w którym mieli tam zdążyć, a resztę zdał na ich męstwo i przemyślność. Oni zaś uradowali się w sercach, gdyż zaraz poznali, że mówi do nich wojownik doświadczony i sprawny. Skończywszy, kazał im iść za sobą i wrócił do swej numy, w której czekali już na niego kniaziowie i bojarzyni setnicy. Tam powtórzył rozkazy, wydał nowe, a wreszcie podniósłszy do ust piszczałkę, wyrzeźbioną z wilczej kości, wydał donośny i przeraźliwy świst, który usłyszano od jednego do drugiego końca obozu.

Na ów odgłos zakotłowało się coś wedle przygasłych ognisk; tu i ówdzie poczęły strzelać iskry, potem błysnęły płomyki, które rosły i wzmagały się z każdą chwilą, a przy ich blasku widać było dzikie postacie wojowników zbierające się koło stosów z bronią. Bór zadrgał i zbudził się. Po chwili z głębin poczęły dochodzić wołania koniuchów pędzących stada ku obozowi.

Rozdział osiemnasty

Doszli rankiem do Niewiaży i przeprawili się: kto konno, kto przy ogonie końskim, kto na pęku łóz. Poszło to tak prędko, że aż Maćko, Zbyszko, Hlawa i ci z Mazurów, którzy przyszli na ochotnika, dziwili się sprawności tego ludu i teraz dopiero zrozumieli, dlaczego ni bory, ni bagna, ni rzeki nie mogły powstrzymać wypraw litewskich. Wyszedłszy z wody, żaden nie zewlókł odzieży, nie zrzucił kożucha ni wilczury, jeno suszyli się, nadstawiając grzbiety słońcu, aż dymiło się z nich jak ze smolarni — i po małym wypoczynku ruszyli śpiesznym pochodem na północ. Ciemnym wieczorem dotarli do Niemna. I tu przeprawa, jako przez rzekę wielką a do tego nabrzmiałą wiosennymi wodami, nie była łatwą. Bród, o którym wiedział Skirwoiłło, zmienił się miejscami w topiel, tak że konie musiały pływać więcej niż na ćwierć stajania. Dwóch ludzi uniósł prąd tuż przy boku Zbyszka i Czecha, którzy na próżno chcieli ich ratować, albowiem z powodu ciemności i wzburzonej wody rychło stracili ich z oczu, oni zaś nie śmieli wołać o ratunek, ponieważ poprzednio wódz wydał rozkaz, aby przeprawa odbyła się w jak najgłębszym milczeniu. Jednakże wszyscy inni dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym przesiedzieli bez ognia do rana.

O pierwszym brzasku całe wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały. Z jednym Skirwoiłło poszedł w głąb kraju na spotkanie owych rycerzy prowadzących posiłki do Gotteswerder, drugi powiódł Zbyszko wstecz ku wyspie, aby zaskoczyć ludziom zamkowym, którzy naprzeciw tamtym wyjść chcieli. Dzień czynił się w górze jasny i pogodny, ale na dole bór, łęgi i krze przysłonione były gęstym, białawym oparem, który całkiem zakrywał dal. Była to dla Zbyszka i jego ludzi okoliczność pomyślna, albowiem Niemcy ciągnący od zamku nie mogli ich z dala dojrzeć i w porę cofnąć się przed bitwą. Młody rycerz rad był z tego niezmiernie i tak mówił do jadącego obok Maćka:

— Pierwej uderzym się o siebie, niż się w takim tumanie zobaczym, daj Bóg tylko, aby nie zrzedniał choć do południa.

To rzekłszy, poskoczył naprzód, by wydać setnikom jadącym na przodzie rozkazy, niebawem jednak wrócił i rzekł:

— Niezadługo trafim na gościniec idący od przewozu przed wyspą do środka kraju. Tam się w gęstwinie położym i będziem na nich czekać.

— Skąd wiesz o gościńcu? — zapytał Maćko.

— Od chłopów tutejszych, których mam między ludźmi kilkunastu. Oni to wszędy nas prowadzą.

— A jak daleko od zamku i od wyspy przypadniesz?

— W mili.

— To dobrze, bo gdyby było bliżej, mogliby z zamku knechtów w pomoc pchnąć, a tak — nie tylko nie nadążą, ale i krzyku nie usłyszą.

— Jużci, że o tym pomyślałem.

— Pomyślałeś o jednym, pomyślże i o drugim: jeśli to wierne chłopy, wyślij ich dwóch albo trzech naprzód, aby który pierwszy obaczy Niemców, zaraz dawał nam znać, że idą.

— Ba, już i to zrobione!

— Tedy jeszcze ci coś powiem. Każ stu albo dwustu ludziom, zaraz jak tylko bitka się zacznie, nie mieszać się do niej, jeno skoczyć i przeciąć drogę od wyspy.

— Pierwsza rzecz! — odpowiedział Zbyszko — ale już i takie rozkazy wydane. Wpadną Niemce jakoby w potrzask albo jako w oklepce!

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał na bratanka życzliwym okiem, rad był bowiem, że Zbyszko mimo wczesnych lat życia tak dobrze wojnę rozumiał, więc uśmiechnął się i mruknął:

— Nasza prawa krew!

Lecz giermek Hlawa uradowany był w duszy jeszcze bardziej od Maćka, gdyż nie było dla niego większej nad bitwę rozkoszy.

— Nie wiem — rzekł — jak ci nasi ludzie będą się potykali, ale idą cicho, sprawnie i ochotę znać po nich okrutną. Jeżeli ów Skirwoiłło dobrze wszystko wymędrował, to żywa noga nie powinna wyjść ze skrzętu.

— Da Bóg, mało się ich wymknie — odpowiedział Zbyszko. — Ale kazałem jak najwięcej jeńców brać, a gdyby trafił się między nimi rycerz albo brat zakonny, to już koniecznie nie zabijać.

— A czemu to, panie? — spytał Czech.

Zbyszko zaś odrzekł:

— Pilnujcie i wy, aby tak było. Rycerz, jeśli z gości, to włóczy się po miastach, po zamkach, siła ludzi widuje i siła nowin słyszy, a jeśli zakonny, to jeszcze więcej. Toć Bogiem a prawdą po to ja tu przyjechałem, żeby kogoś znaczniejszego pochwycić i zamianę uczynić. Jedna mi ta droga ostała… jeżeli jeszcze ostała.

To rzekłszy, dał ostrogi koniowi i znów wysunął się na czoło oddziału, aby wydać ostatnie rozporządzenia i uciec razem od smutnych myśli, na które brakło i czasu, albowiem miejsce na zasadzkę wybrane nie było już zbyt odległe.

— Czemu to młody pan tuszy, że jego niewiastka jeszcze żyje i że się w tych stronach znajduje? — spytał Czech.

— Bo jeśli jej Zygfryd od razu w Szczytnie w pierwszym zapędzie nie zamordował — odparł Maćko — to sprawiedliwie można się spodziewać, że jeszcze żywa. A jeśliby ją był zamordował, to by szczytnieński ksiądz nie był nam takich rzeczy rozpowiadał, które przecie i Zbyszko słyszał. Ciężka to rzecz nawet dla największego okrutnika podnieść rękę na niewiastę bezbronną, ba! na dziecko niewinne.

— Ciężka, ale nie dla Krzyżaka. A księcia Witoldowe dzieci?

— Prawda jest, że wilcze oni serca mają, wszelako i to prawda, że w Szczytnie jej nie zgładził, a że sam w tę stronę pociągnął, więc może i ją w którymś zamku ukrył.

— Hej! żeby się to tak udało tę wyspę i ten zamek ubiec!

— Spojrzyj jeno na tych ludzi — rzekł Maćko.

— Pewnie! pewnie! ale mam ci ja jedną myśl, którą młodemu panu powiem.

— Choćbyś miał i dziesięć, dzidami murów nie rozwalisz.

To powiedziawszy, ukazał Maćko na szeregi dzid, w które większa część wojowników była uzbrojona, po czym zapytał:

— Widziałeś kiedy takie wojsko?

A Czech rzeczywiście nic podobnego nie widział. Przed nim jechał gęsty zastęp wojowników i jechał bezładnie, bo w boru i wśród krzów trudno się było trzymać szeregów. Zresztą piesi pomieszani byli z konnymi i by nadążyć krokom końskim, trzymali się grzyw, kulbak i ogonów. Barki wojowników pokryte były skórami wilków, rysiów i niedźwiedzi, z głów sterczały to kły dzicze, to rogi jelenie, to kosmate uszy, tak że gdyby nie broń stercząca w górę i nie smoliste łuki i kobiałki ze strzałami na plecach, patrzącym z tyłu mogłoby się wydać, zwłaszcza we mgle, że to całe gromady dzikich leśnych bestii wyruszyły z głębi leśnych mateczników — i ciągną gdzieś na wyraj gnane żądzą krwi lub głodem. Było w tym coś strasznego, a zarazem tak niezwyczajnego, jak gdyby się patrzało na ów dziw zwany gomon, w czasie którego, jak wierzy prostactwo, zrywają się i idą przed się zwierzęta, a nawet kamienie i krzaki.

Toteż na ów widok jeden z owych włodyczków z Łękawicy, którzy przybyli z Czechem, zbliżył się do niego, przeżegnał się i rzekł:

— W imię Ojca i Syna! Dyć ze stadem prawych wilków idziem, nie z ludźmi.

Hlawa zaś, choć sam pierwszy raz podobne wojsko oglądał, odrzekł jako doświadczony człowiek, który wszystko przeznał i niczemu się nie dziwi:

— Wilcy stadem w zimie chadzają, ale krzyżacka jucha smakuje i na wiosnę.

A rzeczywiście była już wiosna — maj! Leszczyna, którą bór był podszyty, pokryła się jasną zielenią. Z mchów puszystych a miękkich, po których stąpały bez szelestu nogi wojowników, wydobywały się białe i sinawe sasanki oraz młode jagodzisko i ząbkowana paproć. Zmoczone obfitymi dżdżami drzewa pachniały wilgotną korą, a z leśnego podłoża biła surowa woń opadłego igliwia i próchna. Słońce grało tęczą na zwieszonych wśród liści kroplach i ptactwo głosiło się w górze radośnie.

Oni szli coraz prędzej, bo Zbyszko przynaglał. Po chwili przyjechał znów na tyły oddziału, gdzie był Maćko z Czechem i mazurskimi ochotnikami. Nadzieja dobrej bitki widocznie ożywiła go znacznie, bo w twarzy nie miał zwykłej troski i oczy świeciły mu po dawnemu.

— Nuże! — zawołał. — W przodku nam teraz iść, nie w ociągu!

I powiódł ich na czoło oddziału.

— Słyszycie — rzekł jeszcze — może zaskoczym Niemców niespodzianie; ale jeśli co wymiarkują i w szyku zdołają stanąć, to jużci pierwsi uderzym, bo zbroja na nas godniejsza i miecze lepsze!

— Tak ono i będzie! — rzekł Maćko.

Inni zaś osadzili się mocniej w kulbakach, jakby już zaraz mieli uderzyć. Ten i ów nabrał w piersi powietrza i zmacał, czy kord łatwo z pochew wychodzi.

Zbyszko powtórzył im jeszcze raz, aby jeśli wśród pieszych knechtów znajdą się rycerze lub bracia w białych płaszczach na zbroi, nie zabijać ich, jeno w niewolę brać, po czym skoczył znów do przewodników i po chwili zatrzymał oddział.

Przyszli do gościńca, który od przystani leżącej naprzeciw wyspy biegł w głąb kraju. Właściwie nie był to jeszcze prawdziwy gościniec, ale raczej szlak niedawno przez lasy przetarty i wyrównany tylko o tyle, aby wojska i wozy od biedy mogły przejść po nim. Z obu stron wznosił się wysokopienny bór, a po obu brzegach piętrzyły się pościnane dla otwarcia drogi pnie starych sosen. Leszczynowe podszycie było miejscami tak gęste, że przesłaniało całkiem głąb leśną. Wybrał przy tym Zbyszko miejsce na zakręcie, aby nadchodzący, nie mogąc nic dojrzeć z dala, nie mieli czasu albo cofnąć się w porę, albo ustawić w bojowym szyku. Tam zajął oba boki szlaku i kazał czekać nieprzyjaciela.

Zżyci z borem i z leśną wojną Żmujdzini przypadli tak sprawnie za kłody, za wykroty, za leszczynowe krze i kępy młodej jedliny — jakby ich ziemia pochłonęła. Człowiek się nie ozwał, koń nie parsknął. Od czasu do czasu koło zaczajonych ludzi przeciągał to drobny, to gruby zwierz leśny i dopiero niemal otarłszy się o nich, rzucał się z przerażeniem i fukiem w bok. Chwilami zrywał się powiew i napełniał bór szumem uroczystym i poważnym, chwilami cichnął, a wówczas słychać było tylko odległe kukanie kukułek i bliskie kucie dzięciołów.

Żmujdzini słuchali z radością tych odgłosów, albowiem szczególnie dzięcioł był dla nich zwiastunem dobrej wróżby. Było zaś owych ptaków pełno w tym boru i kowanie dochodziło ze wszystkich stron, usilne, szybkie, podobne jakby do pracy ludzkiej. Rzekłbyś, wszystkie tam miały swe kuźnie i od wczesnego rana zabrały się do gorliwej roboty. Maćkowi i Mazurom zdawało się, że słyszą cieślów pobijających krokwie na nowym domu, i przypomniały im się strony rodzinne.

Lecz czas upływał i dłużył się, a tymczasem nic nie było słychać prócz szumu leśnego i głosów ptactwa. Mgła leżąca na dole zrzedła, słońce podniosło się znacznie i jęło przygrzewać, a oni leżeli ciągle. Wreszcie Hlawa, któremu znudziło się oczekiwanie i milczenie, pochylił się do ucha Zbyszka i począł szeptać:

— Panie… Jeśli, da Bóg, żaden z psubratów nie ujdzie, czybyśmy nie mogli nocą pociągnąć pod zamek, przeprawić się i zdobyć go niespodzianie?

— A to myślisz, że tam łodzi nie strzegą i hasła nie mają?

— Strzegą i mają — odszepnął Czech — ale jeńcy pod nożem hasło powiedzą, ba! sami się po niemiecku do nich obezwą. Byle na wyspę się dostać, to sam zamek…

Tu przerwał, gdyż Zbyszko położył mu nagle dłoń na ustach, albowiem z gościńca doszło krakanie kruka.

— Cichaj! — rzekł — to znak!

Jakoż we dwa pacierze później na szlaku zjawił się Żmujdzin na małym kudłatym koniu, którego kopyta obwinięte były w skórę baranią, tak aby nie wydawały tętentu i nie zostawiały śladów na błocie.

Jadąc, rozglądał się bystro na obie strony i nagle usłyszawszy z gąszczy odpowiedź na krakanie, nurknął w las, a po chwili był już przy Zbyszku.

— Idą!… — rzekł.